ROZMAITOŚCI.

Dnia 14. Listopada. № 46. Roku 1855.

RAFAEL I FORNARINA.

Z francuskiego pana Méry.

(Dokończenie. Ob. Nr. 37. 38. 39. 40. 41. 42. 43. 44. 45. Rozmaitości.)

14.

Odpust w Baccano. (Dokończenie.)

Ludzie wielcy miewają zawsze przyjaciół, o których sami nie wiedzą. Ich poświęceniu zawdzięczają częstokroć całe swe szczęście, ich opiece niewidoméj winni że wychodzą z zasadzek, jakie na nich złość ludzka stawia. A taki przyjaciel Rafaelowi był Mnich Pietro, kochał Rafaela całą duszą, tyle co się kochał w dziełach sztuki malarskiéj, wielbił w nim geniusz i upokarzał przed tą ręką, władzą któréj Bóg do serc ludzkich przemawiał. Dziwnym jakimś przypadkiem dociekł skrytości Vanozzy, i jéj zabiegów, przejżrzał wszystkie zdrady, wyśledził zmowy tajemne, i całą czujność wytężył, ażeby strzec Rafaela i jego pociechę zachować od uszkodzenia. On też to był właśnie, który wytrącił wiązankę fiałków z rąk Stelli, dla tego że były zatrute.

Rzuciwszy się, dopadł Taddea, najemniczego bandyty, czyli jak ich wówczas nazywano Brava, i odwodząc na ustronie, mówi do niego:

Słuchaj Taddeo, znam cię ptaszku, choć ty mię nie znasz; chciałeś zgubić młode dziewczę bo ci zapłacili za to, ale to jeszcze najmniejsza. Wyliczę ci wszystkie sprawki, a za każdą mógłbyś wisieć. Ruszaj pokiś żyw, albo cię żywcem każą kołem łamać. Uchodź!

A Taddeo przerażony, ani pytał więcéj — rozbroiła go groźna postawa i ton głosu rozkazujący, że się pod tym strojem wieśniaczym domyśliwał ciężkiéj nad sobą ręki. Znikł i ani się pokazał więcéj w Baccano.

Gdy się to działo, bawili Paolo i Giaccomo z przyjaciołmi pod namiotem, nie wiedząc co się działo obok w rotundzie. Antonio ich zagadywał, rozrywał pustotą ażeby odwrócić ich uwagę od sąsiedniéj rotundy, a sam wszystko uważał. Dopiéro gdy się dorozumiewał że podstęp mógł się już spełnić, mówi do towarzyszów:

Wiesz ty Paolo, żeśmy bardzo zgrzeszyli.

A to w czém? Ty masz zawsze jakąś niespodziankę.

Nie przywitaliśmy Rafaela; to się nie godzi, przecież byliśmy jego uczniami, i ze szkoły jego jesteśmy.

Bardzo słusznie, bardzo! ale kiedy go tu niema. Od czasu jak do niego Fornarina zalazła, człek się odmienił, ani go gdzie widać.

Pleciesz mój Paolo, bo nie patrzysz. Rafael siedzi tam w rotundzie.

Żartujesz, albo oczy masz sokoła.

Ani jedno, ani drugie, tylko widziałem jak przechodził.

Więc bracia, chodźmy go przywitać; uczciwa to dusza, i zostanie mistrzem naszym choć nie będziemy jego uczniami.

I ruszyli wszyscy z powitaniem do rotundy. Antonio naglił, a popędzała go ciekawość co się tam dzieje; był pewnym że zastaną Fornarinę bez duszy. Zdziwiło go niewymownie, gdy dochodząc zasłyszał głosy wesołe i biesiadę ożywioną. Nie wiedział sam co to znaczy, ale nadrabiając zuchwalstwem, idzie z kolegami.

Właśnie w rotundzie zasiadali do uczty, gdy nadchodzących postrzegł Giulio Romano; ah! woła, oto idą zbiegi nasze, Giaccomo, Paolo i Antonio Vanozzi. Dawno już was nie widać było!

Na słowo Antonio Vanozzi, Rafael zadrżał, jak lodem go oblało. Właśnie tego rana odwiedzał Mamę Lucyę, widział jak upadała na siłach, usychała i więdła, a z niektórych wyjaśnień powziął okropne podejźrzenie. Chciał się teraz wymówić, tylko obawa go wstrzymała, ażeby kolegom zabawy nie popsuć i zgorszenia nie dać.

Koledzy tymczasem witali serdecznie przybyłych, miejsca im porobili i zaprosili do uczty. Antonio zwodził wszystkich pozorem układności najniewinniejszéj, ale Rafael go z oka nie tracił, bronił się w nim przed zwodniczą Fiumą, a po wzgardzonéj miłości mógł się wszystkiego obawiać. Jeszcze chciało nieszczęście że się przebranéj Vanozzy dostało miejsce obok Stelli naprzeciw Rafaela. Wprawdzie jeźli Vanozza mogła być panią swéj ręki, Rafael na przeciwko był panem oka, które przenikało ruch wszelki. Przeczuwał że wkrótce zajść może rozwiązanie; w jaki sposób i przy jakiém zdarzeniu przewidzieć nie mógł, tém srożéj go zrażało.

Uważali wprawdzie uczniowie po Rafaelu jakiś szczególniejszy niepokój duszy; brali to za zwykły odmrocz uczucia, pochodzący z roztargnienia u wielkich ludzi i artystów, gdy ich myśl nadzwyczajna zajmie; a chcąc mu rozbić zasępione niebo, wysilali się na przekor pustotą i wesołością, każdy przytaczał przygódki zabawne, Paolo swój zawód artystyczny i śmieszne ugody z kupcami, którym przyrzekał na sądny dzień dostarczyć obrazów, a tymczasem jak sobie za portrety jednał dziewczęta i mężatki. Giaccomo rozwodził się nad popisem z zapaśniczką swoją subiaceńską; Bartolo. Nicolo, Giovachino i inni wyliczali zbytki, płochości i igraszki z sąsiadkami...

Zdaje się moi panowie, mówi Rafael, że w Rzymie każdemu przygody rosną, codzień się coś komu wydarzy, i mnie samego nie minęło; i w kilku słowach opowiedział zdarzenie swoje z Donną Fiumą Piazza Antonina, tylko że nie wymienił nazwiska swojego ucznia, ale go okiem mierzył.

Zastanawia nas to, mówi Paolo po chwili, że prawie taką samą historyę opowiadał nam Antonio z Wenecyi; miała się wydarzyć wtedy kiedy był na naukach.

A czy Antonio dopowiedział wam końca téj historyi? zapytał Rafael, odwrócony do uczniów.

Nie, mistrzu, ale przyrzekł nam dziś dopowiedzieć; ma listy.

Otóż nie dopowié, ozwał się zza rotundy głos jakiś, bo oto jest koniec; i w tym momencie wpada do środka ten sam *popolano* Pietro, co fiałki z rąk Stelli wytrącił, porywa puhar z winem stojący przed Stellą, to wino w téj chwili zatrute, a kobiéta z Piazza Antonina, to Antonio co z wami siedzi.

Jak piorunem rażeni wszyscy się zerwali; Stella wpół martwa padła na ręce Rafaela; Pietro oglądnął się za Vanozzą, ale ją popłoch za odkryciem swéj zdrady wypędził; korzystała z zamieszania i uszła rąk Pietra.

15.

Odwet.

Chociaż nie weselem, ale zawsze z pomyślnem szczęściem zakończyła się uroczystość w Baccano. Wyjść z wielkiego niebezpieczeństwa, chwila wspomnienia przeraża wprawdzie, ale oraz rodzi w sercu pociechę że zgroza minęła, roznieca się wdzięczność losom opatrznym i tym którzy nas ocalili, rozwija się serdeczność, przy niéj uczucie co łzę wywabia i rozrzewnieniem rozkwita.

Z serdecznym uściskiem i z okiem od łez zroszoném żegnał mistrz ulubieńców swoich, którzy go do domu odprowadzali, a podając dłoń Pietrowi, mówi do niego:

Bracie, teraz, i kiedy zechcesz, we dnie czy w nocy, drzwi domu tego dla ciebie otwarte, przed tobą skrytości nie ma, i co u mnie, jest wszystko na twoje rozkazy.

Mistrzu, odpowiedział Pietro, przyjdę, może nawet prędzéj niż się spodziewasz; bo chociaż dzieło zemsty skończyło się, ale dzieło odwetu jeszcze się nie zaczęło. I Pietro odszedł, ucałowawszy rękę mistrza ubóstwianego.

Dziwny-to człowiek był ten Pietro. Mnich dawnéj daty, jakich dziś ślady zginęły; wychowaniec klasztorny, przyjął zawczasu śluby zakonne, i wniósł pod sukienkę olbrzymią siłę, potęgę duszy, i zmyślną imaginacyę, którą miotany próbował sił swoich w przygodach, i w wypłodach marzeń swoich ochładzał wybujałe wymysły fantazyi młodzieńczéj. Dla niéj kochał się w obrazach, bardziéj jeszcze w mistrzach którzy je wytwarzali, wiązało go ku nim tajemne powinowactwo dusz między sobą, boć i on żył tylko w samych obrazach wymysłów swoich, ztąd téż poprzysiągł w sercu swojém przyjaźń, wiarę i miłość wieczystą Rafaelowi wprzód nim go osobiście poznał, gdyż

w jego utworach widział przebóstwienie obrazów myśli swoich, które sam wysłowić nie umiał. A w miłości do mistrza, roztaczał opiekę swoją i na tych kogo mistrz kochał, i tych co mu do dzieła dopomagali, i uwielbiał dla tego Stellę, pośredniczkę wielkich utworów jego. W skromném powołaniu swojém mało dogadzać mógł skłonnościom żywości swojéj, ukradkiem tylko zabiegał w zgiełkliwsze zgromadzenia, zdala przysłuchywał się uczniom wielkiego malarza, znał ich wszystkich, ich schadzki i rozrywki były mu wiadome, przenikliwości jego i ciekawości nie było tamy, a na schadzkach zwykle na ustroniu w stroju wieśniaczym, swobodny, nikt go się nie wystrzegał, on zaś snadnie dochodził skrytości, do których inny kto, wcale by nie doszedł.

W ciągu takich wycieczek dopatrzył zamiarów Vanozzy, zapobiegał i przeszkodził zbrodni w sposób uczciwy, w duchu miłości bliźniego, któréj się z powołania poświęcał, a w życzliwości serca dla Rafaela, któremu równie jak zakonowi całą swą duszę zaprzysiągł. Ocaliwszy mu życie, chciał jeszcze i na przyszłość zasłonić go od wszelkiéj napaści, dla tego żegnając Rafaela postanowił odszukać Vanozzę i znaglić ją wszelkim jakim da się sposobem do opuszczenia Rzymu na zawsze.

Puścił się w wiadome sobie manowce; po drodze przypytali się Paolo, Giaccomo z towarzyszami, ale dobrze już było pod noc nim Vanozzę znaleźli. Nad wybrzeżem Tybru w pobliżu od ulicy dei Coronari dogorywała z otrucia się w okropnych bolach. — Koniec wszystkiemu! Dzięki wam! Wracam do miłosierdzia boskiego; ukarałam swawolę moją; mistrz mi przebaczy, podałam odlek truciźnie, Mama Lucya żyć będzie! Tobie Paolo, krzyż mój na piersiach — kochałeś mię nie znając. — Siły ją opuściły; umierającéj odnieśli ciało gdzie mieszkała, Pietro ich poprowadził, i ostatnią modlitwę nad nią odmówił.

Dodaje kronika: Po téj przygodzie z Vanozzą szczęście kwitło w domu Rafaela; ale umarł młodo, właśnie gdy malował obraz Przeistoczenia Pańskiego; na dokończeniu przy ostatnim przejźrzeniu obrazu zemdlona ręka opadła, i Rafael oddał ducha swego Bogu, imię swoje potomnym Włochom, a pałac swój Gaffarelim.

ZAGRODA WIEJSKA.

Powiastka z piérwszych lat XIX wieku.

(Z Biblioteki Warszawskiéj.)

(Dalszy ciąg. Ob. Nr. 43. 44. 45. Rozmaitości.)

VI.

Nad Bożym światem wdzięcznie biaława
Mgła się unosi. Pożółkła trawa;
Wrześniowe szrony zćmiły już kwiaty.
Nawet rój ptastwa ubiegł skrzydlaty
W dalekie kraje, za blaskiem, ciepłem,
W trwodze, ażeby, gdy zima skrzepłem

Płaszczem odzieje półmartwą ziemię,
Nie zmilkło piewców na wieki plemię.
Poranna zorza przecież rumieni
Nadobnie wdzięczny obraz jesieni;
Bo cóż nie piękne na Bożym świecie!
Choć słoty zwieją majowe kwiecie,
Z bujnego liścia strząsną konary,
A cień murawę zalegnie szary:
Ma to jesień wdzięczne owoce,
A złoty promień jeszcze migoce
Jasno nad ziemią.

Gdy błyśnie zorza,
Stolnik rad wstaje z twardego łoża;
Wsparty na kiju, ku ogródkowi
Idzie pomału. Tam zwykle mówi
Starzec pacierze; tam w rannéj ciszy
Niema, że Bóg go lepiéj dosłyszy:
Tam się w pierś bije, tęskną źrenicę
Zwraca ku niebu, a stare lice
Dziwnym naonczas blaskiem jaśnieje,
I włos bieluchny wdzięcznie się chwieje
Wzruszony wiatrem, nad bladą skronią,
A myśli obraz przymglony gonią
Zbiegłéj przeszłości.....

I zwolna okiem
Po widnokręgu wodzi szerokim,
I wkoło istne dostrzega dziwy:
Bo wiek nie zdoła zgasić sędziwy
Iskry, co jeszcze w wybranych łonie,
Ponad grobowcem promienna płonie.
O! bo Pan trzyma w ustawnéj pieczy,
Znojem stargany żywot człowieczy!
I na osłodę tułaczéj doli,
W głąb' duszy składa każdemu gwoli
Drobną iskierkę Bożego tchnienia!
Jeden ją w cudne wyroni pienia
Jakoby ptasze, i nad jałową
Ziemią, natchnione rozsiewa słowo,
By jako rosa w skwarną posuchę,
W zbolałe serca tchnęło otuchę;
Inny tę iskrę w głąb' duszy chowa,
Nie zagrzmi światu potęgą słowa,
Ale w jéj blaski czyste, promienne,
Ozdobi ścieżki życia codzienne:
I gdy mu dziwna świeci pochodnia,
Nieznane cuda dostrzega co dnia
Na Bożym świecie. Gdy piękność leży
W łonie człowieka, żywot mu zbieży
Jakby przejźrzystéj krynicy fale,
Kiedy blask słońca lśni w jéj krysztale.
Takim był stolnik. Bóg mu nie marno
Płomień tchnął w duszę, aby nim czarną
Rozjaśnił tkankę samotnéj doli;
Toż choć go żywot nęka i boli,
Zaledwie rzuci okiem dokoła,
Wnet troska pierzcha z bladego czoła.
Skończył pacierze stolnik sędziwy,
Skończył je usty; lecz kiedy dziwy
Wkoło dostrzega potęgi Bożéj:
Dusza się jego w modlitwie korzy,
A myśl pod jasne płynie sklepienie.
I długo, długo trwało milczenie;
Wtém zdala ziemia zadrzała, niby
Od kopyt końskich. — To bez ochyby
Stadninę pędzą na pole młodą —
Pomyśli stolnik, i ponad wodą
Idzie ku drodze, i rzuci okiem
Poza opłotki. A wtém obłokiem
Tumanu skryty, na klaczy siwéj
Mknie Marcin drogą. Włos jasnéj grzywy
Wiatr w malownicze zwoje układa.
Pędzi drożyną; wtém nagle wpada
Na tor gościńca, zatoczy bokiem,
Mknie jako wicher, i wnet przed okiem
Ginie ukryty w gęstwi brzeziny.
I tylko widać w oddali siwej
Tumany pyłu.

I myśl stolnika
Głęboko w zamiar Marcina wnika.
Co mu się stało? i w które strony
Pędem wichury, pomysł szalony
Zagnał młodziana? Zdawna już widzi
Stolnik, że Marcin z myślą się biedzi
Jakąś tajemną; już mu i lica
Dziwnie pobladły, oko przyświeca
Nieznanym blaskiem: znać w głębi łona
Troska osiadła niezwyciężona.
A ponad czołem, niby ponura
Złowieszczym kłębem wije się chmura.

— Co to być może? —
Przemyśla stolnik. — Wyroki Boże
Nad biédnym chłopcem zawisły srodze.
Co mu stanęło na życia drodze
Jakoby kamień? Czy kasztelanka?
Toż od owego przecież poranka
Anim marnego nie wyrzekł słowa,
Jak mówił, że wstręt tajemny chowa
Ku téj niebodze. Czyż Marcin nie wié,
Choć-em mu wtenczas zagroził w gniewie,
Że jak własnego kocham go syna?
Czy marne słowa moje wspomina?
Czemuż mi tego Marcin nie powie?

I dziwne myśli w stolnika głowie
Rojem się plotą: bo mu się zdaje,
Że Marcin w cudze popędził kraje,
Kędy wre wojna. I ta myśl srodze
Dręczy starego; coraz ku drodze
Rzuci oczyma, lecz darmo tonie
Oko w przestrzeni: tam na zagonie
Ćma ludzi rojem owies dożyna,
Lecz ani śladu nigdzie Marcina.

Żółwim się krokiem przewlekł dzień długi.
Stolnik markotny: bo też i sługi
Czoło się grubą powlokło chmurą.
Krząta się Wojciech, myślą ponurą
Srodze trapiony, a do gawędy
Skory jak zawsze, tędy, owędy,
Niby coś prawić wkółko zaczyna,
Ale gawędy wątek przecina
Stroskany stolnik. Nie idą słowa,
Kiedy kto w duszy frasunek chowa.
Wszystko go trapi, wszystko go nudzi;
Nieskore nogi, przechadzka trudzi:
Toż nie ochoczy nawet do strawy,
A Wojciech wszystkie niemal potrawy
Zbiera nietknięte. I po obiedzie
W pole, jak zwykle, stolnik nie jedzie,
Jeno poziewa, z nudów się bierze
Do tabakiery; potém pacierze
Szepcze wieczorne: — i to nie nada.
Znów okulary na nos zakłada,
Otwiera herbarz, na herb Prandoty
Napada zrazu; ale tęsknoty
Żadna rozrywka rozwiać nie zdoła,
Z zacnego starca duszy i czoła.
Aż gdy rozpłonął brzask na kominie,
Zdrzémnął się w krześle w szaréj godzinie.

I drzémał chwilę. Wojciech tymczasem
Nie wiedząc o tém, drzwiami z hałasem
Skrzypnął. Stolnik otwiera oczy,
I znów niepokój pierś starca tłoczy
Jako przed chwilą; patrzy w ognisko
Ponurem okiem, a Wojciech blizko
Przystąpi, pana obejmie nogi,
Bo trapi sługę niepokój srogi,
Co od poranka dręczy stolnika,
I tajnie myśli jego przenika.

— „Daremna trwoga, Wielmożny Panie!
Rzecze — zaprawdę nic się nie stanie
Złego panięciu; toć jako żywo
Jak wiatr pogonił za krasną dziéwą.
Zwyczajnie młody, nie ma dziwoty,
Niedarmoć płynie w nim krew Prandoty!“

Tu stolnik ręką pokręcił wąsa,
I milcząc zwolna głową potrząsa.
A Wojciech prawi:

— „Z oka i z lica
Istnie podobien do chorążyca
Kiedy był młody, a teraz pana
Mego miłego! — I za kolana
Ścisnął stolnika sługa poczciwy.
(A stolnik westchnął.) — Oj! toć nie dziwy!
Czy to dziéwczęciu braknie urody?
I Pan Wielmożny kiedy był młody,
Toć to bywało. Oj miły Boże!
Zaledwie błyśnie na niebie zorze,
Oho! mój panicz daléj przez pole
Pędzi na siwce; a ja pacholę
Na on czas małe, bije bułanę.
Nieraz staj kilka w tyle zostanę,
A panicz leci. Łowczanka czeka,
A tu na przekor droga daleka,
Kurz i wichura, a słońce pali:
Przecież paniczyk nic się nie żali!“

— „Pleciesz koszałki, pożal się Boże!
Waszeć zażyjesz tabaczki może?“ —

Zapyta stolnik, i tabakierą
Raczy Wojciecha: a radość szczerą
Widać na licu. Miło, gdy w duszy
Ręka życzliwa strunę poruszy,
Co dźwięczy jeszcze, choć ją czas pyły
Przyrdzewił nieco.

— „Oj! Boże miły! —
(Znów prawi Wojciech) — czy to dziwota,
Że i panicza wzięła ochota
Do swéj bogdanki? Tak to na świecie
Zawsze bywało!“

— „Oj plecie, plecie
Stary na mękach! — stolnik zagada —
Brać moją siwkę! Czyć tak wypada?
Zniknąć bez wieści, to się nie godzi.
Dziś jako żywo szaleją młodzi,
Bardziéj niż przedtém!“

A Wojciech na to:
— „Pomnę ja dotąd, było to w lato,
Na Matkę Bożą Zielną. Łowczanka
Coś zaniemogła; panicz kasztanka
Nie pożałował!.... i nie zapyta,
Pędzi przez płoty, rowy i żyta.
Biédny kasztanek padł jak nieżywy.
Oj! toż do dziś dnia pomnę straszliwy
Gniéw nieboszczyka, jak się dowiedział.
A jam o chlebie i wodzie siedział
Trzy dni w komórce: bo konik młody
Dostał ochwatu od zimnéj wody,
Com mu jéj dolał!“

— „Toż mi zapłaci
Za figiel Marcin, i siwą schwaci.
Da jéj się w znaki afekt Marcina!“

— „A toć panosko nie przypomina —
Odpowié Wojciech — jako pan stary
Zrzędził i łajał trzy dni bez miary.
A panicz jeno, stuliwszy uszy,
Kiedyniekiedy ramieniem ruszy,
I bąknie zcicha: „Mój mocny Boże!
Że to młodego stary nie może
Nigdy zrozumiéć!“

— „Prawdać to żywa“ —
Odpowié stolnik i głową kiwa,
I znów Wojciecha tabaką raczy.
A sługa prawi:

— „Tak nie inaczéj!
Nie takać sroga podobno wina
Tego biédnego pana Marcina!
Kiedyć tak chciało zrządzenie Boże,
Już jako żywo nic nie pomoże!
Niechże dziéweczce przysięże wiarę!
Oj! miłość będzie na lata stare
Memu panosku, kołysać wnuki,
I pacholętom prawić nauki.
Oj! toćto chyba anioł pociechy
Zawiódł nas w burze pod owe strzechy,
A nie Boruta kierował stary
Naszą kolasę, przez gęstwie, jary,
Aż w podstoliny wstrzymał ją progu.
Trzebaż więc wszystko poruczyć Bogu.
A przy ognisku, w rodziny kole,
Toć człek żywota przepomni bole,
Co het spłynęły jak wody rzeki!“

A stolnikowi łza z-pod powieki
Cicho, nieznacznie, na lica spływa,
I stary milczy, a głową kiwa.

— „Oj mój Wojtusiu! — nakoniec powie —
Jest jako żywo prawda w twém słowie;
Jeno od trwogi włos mi powstaje,
Czyli Marcinek het w obce kraje
Gdzie nie popędził? Zwyczajnie głupi!
Oj! u młodego pono nie kupi
Za grosz rozumu; lada nowiny
Chwyta się zaraz, by pajęczyny:
Toż jako mucha, wnet się opląta.
Oj! lepiéj zawsze własnego kąta
Trzymać się, niżli z wichrem w zawody
Pędzić po świecie...“

— „Ej! panicz młody,
Do swéj bogdanki jak Bóg na niebie
Popędził chyżo.“

— „Bodajby z ciebie
Był dobry prorok“ — stolnik odpowie.
I tabakierę rad Wojtusiowi
Otwartą daje za miłe słowo,
I znowu kręci nieznacznie głową,

Jakby mu wierzyć chciał: — nie może.
Wtém Bryś zaszczekał.
— „Mój mocny Boże! —
Zawoła sługa — niechno pan słucha:
Panicz na siwce pędzi co ducha
Za opłotkami. Zawsze to bywa,
Że z wielkiéj chmury, mała ulewa.“
Stolnik rad w duszy, w ogień pozierа,
Dorzuci drewek. Wtém drzwi otwiera
Marcin nieśmiało: istne pacholę,
Kiedy się chyłkiem wyrwie na pole,
To tak się czai u progu chaty,
Bojąc się słusznéj figlów zapłaty.
Ale gdy Marcin zaledwie zoczy,
Że stryj nie gniewny: toż zaraz kroczy
Raźniéj ku niemu, i za kolana
Obejmie kornie, stryja i pana!

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Ran Bahadur król Nepalski.

Nepaul czyli Nipal składa państwo udzielne w Indyach północniejszych na 2350 mil kwadratowych, o dwóch milionach może bez mała mieszkańców. Kraj kształci międzygórze płaszczyste, opasane łańcuchem Himalaju z jednéj, a wzgórkami od drugiéj południowéj strony. Ziemia jedyna, płodna we wszystko co Indye i Europa rodzą. Mieszkańce w przemożnéj części pochodzą z czystéj krwi Indów, ale są i mieszańce Mongolscy, w połowie Lamaici, w połowie Buddyści co do religii. Królem nazywa się Radża, czyli Ran z pokolenia Razbuttów najstarszy. Przyboczną radę jego składa 36 członków familii; a stolica jest Katmandu.

Otóż królowi Ran Bahadur w Nipalu zachorowała żona, dostała ospy po trzecim powiciu syna. Ran Bahadur zatrwożył się; zwołał wszystkich doktorów, i Hakimów na radę, i naznaczył wielkie nagrody kto ją uleczy; a Bogom co dnia kazał sypać ofiary. Lecz nic nie pomagało, z królową szło co dzień gorzéj, a król codzień się niecierpliwił.

Więc ministrowie i doktorowie radzą, posłać niezwłocznie do miasta świętego Benaru, gdzie mądrzy ludzie mieszkają, i zaprosić z nich tylu, ilu się za wielką nagrodę podejmie uratować życie królowéj. Ran Bahadur usłuchał rady, wyprawił poselstwo, i znalazło się wielu Brachmanow, w zaklęciu chorób biegłych, którzy na wezwanie i za świetną nagrodę do Katmandu przybyli, i tyle dokazali, że uratowane zostało życie królowéj, lecz pozostały ślady niezatarte po ospie.

A w ciągu swojéj choroby wyrzekła królowa wolę, by ją Radża nie wprzód odwiedził, aż przyjdzie do zupełnego zdrowia. Teraz więc, gdy się już na siłach zupełnie czuła, kazała sługom swoim podać sobie zwierciadło, i przestraszyła się okropnie, widząc jak cała jéj piękność zmarniała, i twarz była oszpecona. Wyprawia wszystkich sług z izby, a sama zażywa truciznę. A na truciznę nepalską jeszcze nie znaleziono leku. Nie minęło chwil kilka, Rani padła bez duszy.

Gdy się Ran Bahadur dowiedział, że królowa umarła, wpadł w okropne szaleństwo, wypadł z izby, i rzucił się na ciało Rani, uściskał, i ryczał przekleństwy na królestwo swoje, na lekarzy swoich i na Bogów Nepalskich, ślubując wszystkim pomstę. I najprzód przywołuje doktorów Benarskich, obwołuje że łgarze z nich i oszusty, każe biczować i w swojéj obecności każdemu uciąć nos i prawe ucho, a potém napędzić w granice angielskie ku Benarowi, na popłoch i przestrogę wszystkim oszustom na przyszłość.

Po tém dziele bierze się do Bogów: zaczyna od obelg i zaskarzenia że rozmaitemi łgarstwy i podstępy wyłudzili na nim 12,000 koz, tyle i tyle set funtów konfitur, 2,000 miar mleka, a innych rzeczy co nie miara, więc za to odgraża surową karą, iż z umysłu i swawoli oszpecili mu jego królowę. Więc nakazuje, niech przed pałac jego zajadą wszystkie działa jakie są w Katmandu, wszystkie trzy- i dwunastofuntowe, z całym przyborem prochu, kul i wszelkiéj amunicyi. Gdy stanęli, rozkazał ponabijać na ostro, i ruszył na czele, gdzie stoi sławna świątynia Pas Pat Nath, z wizerunkami wszystkich bogów. Na przeciw tych posągów pozataczał działa, mniejsze przed bóstwa mniejsze, a większe przed większe.

Dopiéro daje znak ognia, ale oficerowie i żołnierze przerażeni posłupieli, wielu potrwożonych rozbiegło się, a którzy pozostali, stali jak wryci, prócz małéj garstki bezbożnych lub innego wyznania. Przyszło więc wprzódy wytępić i wygubić krnąbrnych rozkazom Bahadura, i dopiéro zagrzmiały działa, i runęły bożyszcza wszystkie w gruz i popioły; ani jeden posążek nie ostał się. Padły i gmachy klasztorne, duchowni szczęściem umknęli na ziemię angielską, lecz który nie dopadł granic, biada mu, ujęty dał gardło pod topór.

Dopiéro uśmierzyły się gniewy Ran Bahadura, ale się srodze zaklął, że w krajach jego nie postanie bożyszcze nowe póty, aż mu zmarła królowa zostanie zwrócona. I dotrzymał przysięgi, ale nie długo; Nepalowie wnosząc z tego co Bogom było, że to samo i ich czekać może, uprzedzili wybuchy dalszéj srogości, odebraniem Bahadurowi życia.

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.** *Z c. k. galicyjskiéj drukarni rządowéj.*